Piotr Zaremba: Czy „Ferdydurke” jest aktualna? Po wizycie w Dramatycznym

Sławna lekcja o Słowackim miała inny wydźwięk w II RP, kiedy istotnie przeszłość podlegała urzędowej rytualizacji, inną dzisiaj, kiedy bronimy jej przed ignorancją i zapomnieniem. W nowej adaptacji zakłada się jednak, że dziś jest tak samo. Oczywiście wymierza się taką konstatację przeciw prawicy, ale czy to pomaga w zrozumieniu naszych czasów? – pisze Piotr Zaremba w kolejnym felietonie z cyklu „Teatr według Zaremby”

Czy warto oglądać kolejne adaptacje teatralne „Ferdydurke” Witolda Gombrowicza, wielkiego powieściowego manifestu przeciw rytuałom? Między innym i przeciw szkole. Co skończyło się poniekąd groteskową pointą, jego własną rytualizacją – proszę sobie odszukać w Internecie bryki do „Ferdydurke” jako szkolnej lektury. Zresztą ta rytualizacja rozgrywa się też na poziomie publicznej debaty (Gombrowicz à la banalista Palikot). Także w polskim teatrze.

Warto oglądać, bo zawsze coś sobie przypomnimy, czegoś dowiemy. Podczas spektaklu „Ferdydurke” w warszawskim Teatrze Dramatycznym (scena na Woli) zastanawialiśmy się, korzystając z dwóch przerw (spektakl jest trzygodzinny!), skąd sceny z Filidorem i anty-Filidorem, profesorami od Syntezy i Analizy. Nie tylko mnie, ale i kolegom bardziej obeznanym z teatrem, wydały się wzięte z innego utworu Gombrowicza. Po powrocie do domu właśnie dzięki wspomnianym brykom dowiedziałem się, że to jednak jeden z nie pamiętanych przez nas, dygresyjnych rozdziałów „Ferdydurke”, Cóż, pamięć szwankuje.

Gdzie i kiedy się dzieje?

A samo przedstawienie? Zrobione wspólnie przez Dramatyczny i posługujący się lalkami Teatr Malabar Hotel, zaniepokoiło mnie już obsadą. Jak Anna Gorajska może grać równocześnie Zutę i Kopyrdę, skoro Kopyrda przychodzi do Zuty, pytałem siebie i znajomych? Co z tym zrobili autor adaptacji Maciej Podstawny i reżyserka Magdalena Miklasz?

W sumie jak na moje obawy nie było tak źle, choć poszczególne rozwiązania są kontrowersyjne. Kopyrdy w zasadzie w ogóle nie ma. I jego i siebie reprezentuje w scenie nawiedzania pensjonarki poderotyzowany, dziwnie młody profesor Pimko. Całość jest jednak znacznie bardziej podobna do oryginału, niż wskazywałyby na to choćby złożone w dużej mierze z lalek dekoracje Katarzyny Borkowskiej. Wszystko jest snem Józia śnionym we własnym zagraconym mieszkaniu, co samo w sobie nie jest bezsensem.

Jest podobna do oryginału, co nie znaczy, że każdy pomysł mi się spodobał. Generalnie zgodnie z manierą większości współczesnych przedstawień przeniesiono akcję w nasze czasy. To znaczy nie całkiem przeniesiono, bo choćby scen z trzeciego aktu, gdzie mamy ziemiański dworek, zachowując większość dawnego tekstu przenieść do końca się nie da. A jednak mamy współczesne stroje i sprzęt (laptop, smartfon), a młodzież ze scen szkolnych w pierwszym akcie raz przemawia owym dziwnym, sztucznym językiem Gombrowicza, na pewno nie współczesnym, a raz przeklina „po dzisiejszemu". Także w dworku syn gospodarzy Zygmuś proponuje nieustannie biesiadnikom przy stole: „drinkniemy?", co wszyscy robią.

Powstaje mieszanka. Skoro teatr to umowność, można taki zamysł zdzierżyć i uznać za podkreślenie ciągłości pewnych zjawisk w czasie. Zwłaszcza że współczesny Józio śni, i to we śnie przychodzi do niego profesor Pimko by zabrać go do szkoły dyrektora Piórkowskiego. Sen może być zawieszony między epokami.

Grepsy, skecze, kabaret

Gorzej z nieustającymi pokusami szpikowania tego tekstu grepsami, które sprowadzają tekst do kabaretowych rozpraw ze współczesnymi wrogami, co jest nagminną pokusą dzisiejszych zaangażowanych teatrów. U Gombrowicza wojna na miny to starcie dwóch absurdów. U Podstawnego i Miklasz – to pojedynek Syfona-konserwatysty, którego miny są komentowane napuszonym językiem „patriotów", z Miętusem, który jest po prostu fajnym chłopakiem.

Tych grepsów jest trochę i w innych scenach, czasem wplecionych w tekst zasadniczy absurdalnie – jak wtedy, gdy Młodziakowa mówi nagle w drugim akcie (stancja) z aprobatą o „prawdziwym Polaku", co oczywiście jest niezawodną receptą na śmiech widowni. Skądinąd jednak scena obiadu u Młodziaków i tak jest zaskakująca, bo przez parę minut oglądamy nabijanie się z „postępaków", chyba nawet ostrzejsze niż w powieści. Tekst inżyniera Młodziaka o tym, że nie da hinduskiemu kurierowi zbyt dużego napiwku, bo mógłby być podejrzewany o rasizm, brzmi celnie, choć nie pochodzi z tej książki.

W sumie jednak upublicystycznienie „Ferdydurke" to produkt naszych czasów. Myśląc o tym przypominam sobie najlepszą adaptację powieści – telewizyjną, Macieja Wojtyszki z 1986 roku. Wtedy nikt się nie zniżał do mnożenia na kanwie Gombrowicza kabaretowych skeczów.

> *Scena obiadu u Młodziaków jest zaskakująca, bo przez parę minut oglądamy nabijanie się z „postępaków", chyba nawet ostrzejsze niż w powieści*

Taką cokolwiek skeczową konstrukcję całości piętnowali znajomi, z którymi to oglądałem. Ja byłem bardziej wyrozumiały mając satysfakcję z kilku scen: jednak zabawnego ciągu sekwencji u Młodziaków czy biesiady u ziemiańskiego wujostwa. Całość bywała jednak miejscami niezborna. Czasem zbyt rozwlekła, czasem z kolei nadmiernie ściśnięta, zdawkowa. Konia z rzędem temu, kto nie znając powieści mógł pojąć

nieoczekiwanie skrócony koniec drugiego aktu, kiedy miast sprowadzonych przez Internet do mieszkania Młodziaków Kopyrdy i Pimki pojawia się sam Pimko… kopulujący z lalką.

Grepsowość i chaotyczność, jakby wybierano z worka pomysłów trochę na oślep, to moje główne zarzuty. A przecież nie mogę powiedzieć o tym przedstawieniu samych złych rzeczy. Dzięki aktorom. Nie mogę ich wprawdzie wyłącznie chwalić – w kilku scenach za bardzo sypali się z tekstem, ponad miarę codzienności polskiego teatru. Ale zarazem grali dynamicznie, „z jajem" i niekiedy nawet z wyczuciem ducha Gombrowicza.

Nieźle zagrane, ale…

Waldemar Barwiński jako Józio był najbardziej serio z wszystkich postaci, bo tak jest w tekście. W moich oczach ciężko mu było udźwignąć porównanie z koncertowo toksycznym Janem Peszkiem z inscenizacji Wojtyszki, ale starał się jak mógł. Prym wiodła czująca się w świecie groteski jak ryba w wodzie Magdalena Smalara – w potrójnej roli. Zachwycała jako Młodziakowa, a kiedy w trzecim akcie pojawiła się przebrana za Zygmusia, szukałem w programie nazwiska kolejnego, nieobecnego do tej pory na scenie aktora.

Takie przedstawienia dają niekiedy okazję do wykazania się aktorom pozostającym w cieniu. Mateusz Weber grywał w Dramatycznym główne role, a przecież były one ustawione zbyt konwencjonalnie. I w „Kinky Boots", i w „Kabarecie" trochę go przysłaniał tu nieobecny Krzysztof Szczepaniak. Tym razem Weber jest znakomity – i jako przeraźliwie spięty Syfon i jako gamoniowaty, a przecież rozkręcający się parobek Walek.

Moje uznanie wzbudził też Marcin Bikowski z teatru Malabar Hotel. Jego Miętus jest pomyślany przez twórców spektaklu dość płasko, ale aktor nadrabia to małpią zdolnością do rozmaitych transformacji. Dobrzy, bo zabawni są Łukasz Wójcik jako Pimko i jako ziemiański wujaszek, czy Anna Gorajska, też w kilku rolach, chyba najbardziej jako

Zuta. Właściwie wszyscy dają coś z siebie. Może nie jest to perfekcyjny koncert, ale coś więcej niż poprawna akademia ku czci zmienionego w klasyka Gombrowicza.

Skądinąd mój opór wobec skeczowo-kabaretowego uwspółcześniania tekstu nasunął mi szerszą refleksję. Na ile „Ferdydurke", na pewno rzecz świetna literacko, powala dziś na kolana świeżością obserwacji i myślowych odkryć. Twórcy przedstawienia zakładają, że aktualne jest wszystko.

> *Co jest dziś odpowiednikiem dworkowej klasowości z aktu trzeciego? Pozostaje zabawa samymi sytuacjami*

A przecież choćby sławna lekcja o Słowackim, gdzie rolę Bladaczki przejmuje Pimko, miała inny wydźwięk w II RP, kiedy istotnie przeszłość podlegała urzędowej rytualizacji, inną dzisiaj, kiedy bronimy jej przed ignorancją i zapomnieniem. Tu zakłada się jednak, że dziś jest tak samo. Oczywiście wymierza się taką konstatację przeciw prawicy, ale czy to pomaga w zrozumieniu naszych czasów? Mam co najmniej poważne wątpliwości.

Z kolei w innych momentach brakło mi analogii wynikłych z wędrówek w czasie. Może najmniej ten problem dotykał środkowego aktu. Spiętrzenie akcji, kiedy Józio jest pomawiany o pozy przez „antyk sprzymierzony z nowoczesnością", czyli przez Pimkę pospołu z Młodziakową, broni się nieźle. Ale co jest dziś odpowiednikiem dworkowej klasowości z aktu trzeciego? Pozostaje zabawa samymi sytuacjami. Same spostrzeżenia Gombrowicza, jak to oddziałujemy na siebie nawzajem, nie brzmią już tak odkrywczo jak nawet 30 lat temu. Choć może ludzie wchodzący w dorosłe życie odbiorą to inaczej?

Po ile postaci na aktora?

Na koniec wątpliwość może najbardziej systemowa: co do konwencji wedle której prawie wszyscy aktorzy (poza Barwińskim i Bikowskim, choć ten ostatni gra także epizody intermezzach) mają w przedstawieniu po kilka ról. Niczym się to nie tłumaczy, poza ogólnym podkreśleniem umowności. Nie wiem jednak, czy bardziej dosłowna opowieść Józia, jako punkt wyjścia do mnożenia absurdów, nie przekonałaby mnie bardziej. Mówiąc prościej, czy nie warto było dla każdej z tych, nawet drugoplanowych, postaci zarezerwować osobnego „ja", także fizycznego.

Ale może tajemnica jest najprostsza: wzgląd na oszczędności. Wieloobsadowe inscenizacje są droższe. Tu rzecz całą opędza ośmioro bardzo przepracowanych aktorów.

Oglądam inne przedstawienia, gdzie łączy się role nieustannie. I czasem ma to sens. Oto dwa przykłady z ostatniej chwili, zresztą z przedstawień chyba lepszych niż ta „Ferdydurke".

W feministycznej „Miłości do ostatniego wejrzenia" chorwackiej pisarki Vedrany Rudan, też w Teatrze Dramatycznym, pięć aktorek przekazuje sobie role niczym piłeczki. Nie dość, że jedna kobieta ma kilka scenicznych postaci, to nawet mężczyzn, opresorów improwizują one same. Chodzi tu jednak o to aby rzecz pozostała w konkretnym kręgu. Aby pokazać, że pewne sytuacje są powtarzalne i że zarazem tylko one same umieją o nich opowiedzieć. Wszystko jest tu w sensie teatralnym na swoim miejscu. I jest to, niezależnie od dyskusyjnej wymowy sztuki, perfekcyjnie rozegrane – i przez reżyserkę i przez grające panie.

Z kolei „Żywot Józefa" Mikołaja Reja wystawiony w Akademii Teatralnej przez Jarosława Gajewskiego, a zagrany przez czworo aktorów zawodowych oraz grupę studentów drugiego roku kierunku aktorstwo muzyczne z pewnością jest w swoim założeniu przedstawieniem skromnym. Taka jest natura podobnych projektów. Zarazem ta skromność, podobnie jak umowność granicząca z naiwnością, pasuje do teatru staropolskiego. Kiedy swoisty chór złożony ze studentów zmienia przebrania na scenie, doskonale czujemy o co chodzi. Prawie wszyscy, poza Hubertem Paszkiewiczem w roli tytułowej, wcielają się w

dwie lub trzy postaci. Ale to przecież bardziej aktorzy demonstrujący postaci niż realne postaci stają przed nami. Choć zwłaszcza Małgorzata Lippman jako żona Potyfara trochę poza tę konwencję wychodziła – pokazując serio dramat kobiety.

To skądinąd jedno z najpiękniejszych przedstawień tego roku, jakie widziałem. Przemawiające harmonią wizji plastycznej, wspaniałej muzyki i aktorskiej radości z zabawy w teatr. W „Ferdydurke" za to wymienność postaci jeszcze bardziej podkreślała skeczowość i doraźność całości. Nie zmienia to faktu, że jeśli poświęciłem tej inscenizacji tyle uwagi – coś w niej najwyraźniej było. Może poza wszystkim lubię sobie przypominać kawałki oryginału? I dumać o aktualności Gombrowicza zmienionego nagle przez wszystkich w klasyka (że przypomnę niedawny spór o „Ślub" w Teatrze Narodowym). Z czego jego duch powinien drwić najgłośniej.